

PIEKŁO PRZYCIĄGA PIEKŁO...

**TESS
GERRITSEN**

Klub Mefista



Rozdział pierwszy

Wyglądali na idealną rodzinę.

Tak właśnie pomyślał chłopiec, stojąc nad otwartym grobem ojca i słuchając, jak pastor czyta frazesy z Biblii. Tylko garstka ludzi zebrała się w ten ciepły czerwcowy dzień, aby pożegnać Montague'a Saula, najwyżej kilkanaście osób, z których wiele dopiero poznał. Przez ostatnie pół roku chodził do szkoły z internatem i dziś widział niektórych z tych ludzi po raz pierwszy. W większości w ogóle go nie interesowali.

Ale rodzina wuja ciekawiła go ogromnie. Byli warci uwagi.

Doktor Peter Saul przypominał bardzo swego zmarłego brata, Montague'a. Był szczupłym intelektualistą o rzadziejących nieuchronnie brązowych włosach i okularach, które upodabniały go do sowy. Jego żona, Amy, miała okrągłą, słodką twarz i rzucała wciąż zatroskane spojrzenia w kierunku swego piętnastoletniego bratanka, jakby chciała go przytulić i zdusić w uścisku. Ich syn, Teddy, miał dziesięć lat. Był chudy jak szczapa i wyglądał jak miniaturowa kopia Petera Saula. Nosił nawet takie same okulary.

Mieli też szesnastoletnią córkę, Lily.

Kosmyki włosów wysunęły jej się z końskiego ogona i przy-

wierały teraz w upale do twarzy. Najwyraźniej czuła się źle w czarnej sukience i przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę, jakby szykowała się do ucieczki. Jakby wołała być gdziekolwiek indziej, byle nie na tym cmentarzu, gdzie opędziała się od brzęczących owadów.

Wyglądają tak normalnie, tak przeciętnie, pomyślał chłopiec. Są tak niepodobni do mnie. Nagle napotkał spojrzenie Lily i poczuł dreszcz zaskoczenia. Wzajemnego zrozumienia. W tym momencie czuł niemal, jak jej wzrok przenika najmroczniejsze zakamarki jego mózgu, wnikając we wszystkie sekretne miejsca, których nikt nigdy nie widział. Których nie pozwolił nikomu oglądać.

Odwrócił wzrok z zakłopotaniem i skupił uwagę na innych ludziach stojących wokół grobu. Zarządca domu ojca, adwokat, dwoje sąsiadów. Zwykli znajomi, którzy znaleźli się tam z poczucia obowiązku, nie z przywiązania. Zнали Montague'a Saula tylko jako spokojnego naukowca, który wrócił niedawno z Cypru i spędzał całe dni nad książkami, mapami i kawałkami ceramiki. Nie znali go naprawdę. Podobnie jak jego syna.

Wreszcie ceremonia się skończyła i zebrani ruszyli w kierunku chłopca, jak ameba szykująca się do tego, by osaczyć go wyrazami współczucia, powiedzieć mu, jak im przykro, że stracił ojca. W dodatku tak szybko po przeprowadzce do Stanów.

— Masz tu przynajmniej rodzinę, która może ci pomóc — powiedział pastor.

Rodzinę? Tak, ci ludzie to chyba moi krewni, pomyślał chłopiec, gdy podszedł do niego nieśmiało mały Teddy, popychany przez matkę.

— Będziesz teraz moim bratem — oznajmił.

— Naprawdę?

— Mama przygotowała ci już pokój. Tuż obok mego.

— Ale ja zostaję tutaj. W domu ojca.

Teddy spojrział zdeorientowany na matkę.

— Czy on nie wraca z nami do domu?

Amy Saul rzekła pospiesznie:

— Nie możesz mieszkać zupełnie sam, kochanie. Masz dopiero piętnaście lat. Może spodoba ci się w Purity tak bardzo, że zechcesz z nami zostać.

— Mam szkołę w Connecticut.

— Tak, ale rok szkolny już się skończył. Jeśli we wrześniu zechcesz wrócić do swojej szkoły z internatem, to rzecz jasna wrócisz. Ale przez lato pomieszkasz u nas.

— Nie będę tu sam. Przyjedzie do mnie mama.

Zaległo długie milczenie. Amy i Peter spojrzeli na siebie i chłopiec wiedział, o czym myślą. Matka opuściła go wiele lat temu.

— Przyjedzie do mnie — powtórzył z naciskiem.

— Pomówimy o tym później, synu — powiedział łagodnie wujek Peter.

□ □ □

Nocą chłopiec leżał w łóżku, w domu swojego ojca w mieście, nasłuchując głosów ciotki i wujka, którzy rozmawiali cicho w gabinecie na dole. W tym samym gabinecie, gdzie Montague Saul pracował w ciągu ostatnich miesięcy, tłumacząc teksty z kruchych zwojów papirusu. W tym samym gabinecie, gdzie pięć dni temu dostał zawału i osunął się na biurko. Ci ludzie nie powinni tam być, wśród bezcennych skarbów ojca. Wtargnęli bezprawnie do jego domu.

— On jest jeszcze dzieckiem, Peter. Potrzebuje rodziny.

— Nie możemy zaciągnąć go siłą do Purity, jeśli nie chce z nami jechać.

— W wieku piętnastu lat nie ma się wyboru w takich sprawach. Decyzje podejmują dorośli.

Chłopiec wstał z łóżka i wymknął się z pokoju. Zszedł chyłkiem do połowy schodów i przysłuchiwał się rozmowie.

— Z iloma dorosłymi miał tak naprawdę do czynienia? Twój brat właściwie się nie liczy. Był tak pochłonięty swoimi mumiami, że pewnie nawet nie zauważał obecności dziecka.

— Jesteś niesprawiedliwa, Amy. Mój brat był dobrym człowiekiem.

— Dobrym, ale trudnym do zrozumienia. Nie wyobrażam sobie, co za kobieta chciała mieć z nim dziecko. A potem zostawia Monty'emu chłopca na wychowanie? Nie mogę tego pojąć.

— Monty spisał się nie najgorzej. Chłopak ma w szkole celujące oceny.

— To twoim zdaniem kryterium wzorowego ojcostwa? Fakt, że dziecko dostaje dobre stopnie?

— Jest też opanowany. Spójrz, jak dobrze zniósł ten pogrzeb.

— On jest otępiały, Peter. Widziałeś dziś na jego twarzy jakiegokolwiek uczucia?

— Monty też był taki.

— Pozbawiony emocji?

— Nie. Kierował się intelektem. I logiką.

— Ale przecież wiesz, że w głębi duszy chłopiec musi cierpieć. Chce mi się płakać na myśl, jak bardzo potrzebuje teraz matki. Upiera się, że matka do niego wróci, choć oboje wiemy, że to nieprawda.

— Wcale tego nie wiemy.

— Nawet nie znamy tej kobiety! Monty napisał do nas pewnego dnia z Kairu, że ma syna. Równie dobrze mógł go wyciągnąć z sitowia jak małego Mojżesza.

Chłopiec usłyszał nad sobą skrzypienie podłogi i spojrzawszy na szczyt schodów, stwierdził ze zdumieniem, że znad poręczy przygląda mu się jego kuzynka Lily. Wpatrywała się w niego

uważnie, jak w egzotyczne stworzenie, którego nigdy przedtem nie spotkała, i nie była pewna, czy nie jest niebezpieczne.

— O! — powiedziała ciocia Amy. — Nie śpicie?

Ciotka i wujek wyszli właśnie z gabinetu i stali u podnóża schodów, patrząc na niego. Wydawali się nieco zaniepokojeni, że mógł słyszeć ich rozmowę.

— Dobrze się czujesz, kochanie? — spytała Amy.

— Tak, ciociu.

— Już tak późno. Może powinieneś wrócić do łóżka?

Ale chłopiec nie ruszył się z miejsca. Siedział dalej na schodach, zastanawiając się, jak by to było, gdyby zamieszkał z tymi ludźmi. Czego mógłby się od nich nauczyć? Miałby ciekawe lato, zanim przyjedzie po niego mama.

— Ciociu Amy — odezwał się wreszcie. — Już postanowiłem.

— Co takiego?

— Gdzie chcę spędzić lato.

Amy domyślała się najgorszego.

— Proszę, nie decyduj pochopnie! Mamy naprawdę ładny dom, tuż nad jeziorem i miałbyś własny pokój. Odwiedź nas chociaż, zanim coś postanowisz.

— Ale ja chcę z wami zostać.

Ciotka zaniemówiła na chwilę z wrażenia, po czym jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu. Wbiegła na schody, by chłopca uściskać. Pachniała mydłem Dove i szamponem Breck. Tak pospolicie, tak zwyczajnie. Potem uśmiechnięty szeroko wuj Peter poklepał go serdecznie po ramieniu, jakby witał nowego syna. Ich radość opasywała chłopca jak nić waty cukrowej, wciągając go w ich świat, gdzie istniała tylko miłość, światło i śmiech.

— Dzieciaki tak się ucieszą, że z nami wracasz! — rzekła Amy.

Spojrzał w kierunku szczytu schodów, ale Lily już tam nie było. Zniknęła niepostrzeżenie. Będę musiał mieć ją na oku, pomyślał. Bo ona już mnie obserwuje.

— Należysz teraz do naszej rodziny — oznajmiła Amy.

Gdy wchodzili razem po schodach, opowiadała mu już o planach na lato. O miejscach, do których go zabiorą, o specjalnych potrawach, które dla niego przyrządzą, gdy wrócą do domu. Wydawała się radosna, nawet podekscytowana, jak matka nowo narodzonego dziecka.

Amy Saul nie miała pojęcia, co sprowadzają do swego domu.

Rozdział drugi

Dwanaście lat później

Być może popełniała błąd.

Doktor Maura Isles przystanąła przed drzwiami kościoła Najświętszej Maryi od Bożej Światłości, niepewna, czy powinna wejść do środka. Parafianie zgromadzili się już wewnątrz, a ona stała samotnie w mroku i płatki śniegu opadały wolno na jej nieosłoniętą głowę. Przez zamknięte drzwi kościoła słyszała, jak organistka zaczyna grać *Adeste Fidelis* i wiedziała, że wszyscy siedzą już w ławkach. Jeśli chciała do nich dołączyć, nie powinna dłużej zwlekać.

Wahała się, bo nie należała tak naprawdę do parafialnej wspólnoty. Ale nęciła ją muzyka, a także obietnica ciepła i swojskich obrzędów. Tutaj, na ciemnej ulicy, stała sama. Samotna w wieczór wigilijny.

Weszła po schodach do budynku.

Mimo późnej pory ławki były wypełnione rodzinami i zaspianymi dziećmi, które wyciągnięto z łóżek na pasterkę. Spóźnione przybycie Maury zwróciło uwagę paru osób i gdy milkły ostatnie dźwięki *Adeste Fidelis*, zajęła pospiesznie pierwsze wolne miejsce, jakie znalazła w ostatnich rzędach. Niemal

natychmiast musiała jednak znowu wstać wraz z resztą wiernych, gdyż zaczęła się antyfona na wejście. Ojciec Daniel Brophy podszedł do ołtarza i przeżegnał się.

— Łaska i pokój Boga Ojca i naszego Pana Jezusa Chrystusa niech będą z wami wszystkimi — powiedział.

— I z duchem twoim — mruknęła pod nosem Maura razem z wiernymi. Choć od tylu lat nie chodziła do kościoła, odpowiedzi płynęły spontanicznie z jej ust, zachowane w pamięci dzięki niedzielnym mszom z dzieciństwa. — Panie, zmiłuj się. Chryste, zmiłuj się. Panie, zmiłuj się.

Chociaż Daniel nie był świadomy jej obecności, Maura koncentrowała uwagę tylko na nim. Na jego ciemnych włosach, miękkich ruchach, dźwięcznym barytonowym głosie. Tej nocy mogła przyglądać mu się bez wstydu, bez zażenowania. Niczym to nie groziło.

— Daj nam wieczną radość w Królestwie Niebieskim, gdzie On mieszka i rządzi wraz z Tobą i Duchem Świętym, jeden Bóg na wieki wieków.

Siadając ponownie w ławce, Maura słyszała stłumione chrząknięcia i pojękiwania zmęczonych dzieci. Na ołtarzu migotały świece, symbolizując światło i nadzieję w tę zimową noc.

Daniel zaczął czytać:

— Lecz anioł rzekł do nich: „Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu...”.

Święty Łukasz, pomyślała Maura, rozpoznając te słowa. Łukasz, który był lekarzem.

— „...A to będzie znakiem dla was: znajdziecie Niemowlę, owinięte w...”. Przerwał, dostrzegając nagle Maurę. Czy to aż taka niespodzianka, że mnie tu dzisiaj widzisz, Danielu? — pomyślała.

Odchrząknął, spojrział w notatki i czytał dalej:

— „Znajdziecie Niemowlę, owinięte w pieluszki i leżące w żłobie”*.

Chociaż już wiedział, że Maura siedzi wśród jego parafian, więcej na nią nie spojrzał. Ani przy śpiewaniu *Cantate Domino* i *Dies Sanctificatus*, ani podczas ofiarowania i liturgii eucharystii. Gdy inni wokół niej wstawali z miejsc i szli do komunii, Maura pozostała w ławce. Skoro ktoś nie wierzy, hipokryzją jest spożywanie hostii i picie wina mszalnego.

W takim razie co ja tu robię?

Pozostała jednak do końca mszy, na błogosławieństwo i wezwanie do rozejścia się.

— Idźcie w pokoju Chrystusa.

— Bogu niech będą dzięki — odparli wierni.

Msza skończyła się i ludzie zaczęli wychodzić z kościoła, zapinając płaszcze i wciągając rękawiczki w drodze do drzwi. Maura także wstała i zamierzała właśnie wyjść z ławki, gdy spostrzegła, że Daniel daje jej w milczeniu znak wzrokiem, by została. Usiadła z powrotem, zauważając wścibskie spojrzenia mijających ją ludzi. Wiedziała, co widzieli, albo co im się wydawało, że widzą: samotną kobietę, spragnioną słów pociechy od księdza w wigilijną noc.

A może dostrzegli coś więcej?

Nie odwzajemniała ich spojrzeń. Gdy kościół opustoszał, spoglądała przed siebie, spokojnie wpatrzona w ołtarz, myśląc: Jest już późno i powinnam wracać do domu. Nie wiem, co dobrego może wyniknąć z tego, że zostałam.

— Witaj, Mauro.

Podniósłszy wzrok, napotkała spojrzenie Daniela. Kościół nie był jeszcze całkiem pusty. Organistka pakowała wciąż

* Ewangelia wg św. Łukasza (2;10-12). Wszystkie biblijne cytaty zaczerpnięto z Biblii Tysiąclecia.

swoje nuty, a kilku chórzystów wkładało płaszcze, ale w tym momencie Daniel skupiał już całą uwagę na Maurze, jakby była tylko ona.

— Dawno cię tu nie było — zauważył.

— Rzeczywiście.

— Od sierpnia, prawda?

A więc ty też liczyłeś dni.

Usiadł w ławce obok niej.

— Jestem zaskoczony, że cię widzę.

— W końcu jest Wigilia.

— Przecież nie wierzysz.

— Ale lubię te obrzędy. I pieśni.

— Tylko dlatego przyszedłeś? Żeby zaśpiewać kilka pieśni? Zaintonować parę razy „amen” i „Bogu niech będą dzięki”?

— Chciałam posłuchać muzyki. Pobyć wśród ludzi.

— Nie mów mi, że spędzasz tę noc samotnie.

Wzruszyła ramionami i zaśmiała się.

— Znasz mnie, Danielu. Nie lubię przyjąć.

— Myślałem po prostu... To znaczy, zakładałem...

— Co?

— Że jesteś z kimś. Zwłaszcza dzisiejszej nocy.

Jestem. Jestem z tobą.

Oboje zamilkli, gdy obok ławki przeszła organistka, niosąc swoją torbę z nutami.

— Dobranoc, ojcze Brophy.

— Dobranoc, pani Easton. Dziękuję za wspaniały koncert.

— To była przyjemność. — Organistka rzuciła Maurze na pożegnanie przenikliwe spojrzenie i podążyła do wyjścia. Usłyszeli odgłos zamykania drzwi i wreszcie zostali sami.

— Dlaczego nie było cię tak długo? — spytał.

— Wiesz, jak to jest w mojej pracy. Nigdy nie mam czasu. Kilka tygodni temu jeden z naszych patologów musiał iść do

szpitala na operację kręgosłupa i trzeba było go zastępować. Miałam dużo zajęć, to wszystko.

— Zawsze możesz podnieść słuchawkę i zadzwonić.

— Tak, wiem. — On też mógł, ale tego nie zrobił. Daniel Brophy nigdy nie przekraczał wyznaczonej linii. Może i słusznie. Maura walczyła z wystarczająco silną pokusą za nich oboje.

— Co u ciebie? — spytała.

— Słyszałaś, że ojciec Roy miał w zeszłym miesiącu wylew? Zostałem policyjnym kapelanem.

— Wiem o tym od detektyw Rizzoli.

— Kilka tygodni temu byłem na miejscu przestępstwa w Dorchester. Kiedy zastrzelono policjanta. Widziałem cię tam.

— A ja ciebie nie. Powinieneś się przywitać.

— Cóż, byłaś bardzo zajęta. Całkowicie pochłonięta pracą, jak zwykle. — Uśmiechnął się. — Wyglądasz czasem tak groźnie, Mauro. Wiedziałaś o tym?

Roześmiała się.

— Może na tym polega mój problem.

— Jaki problem?

— Odstraszam mężczyzn.

— Mnie nie odstraszyłaś.

Jak bym mogła? — pomyślała. Tobie nie złamie się serca. Spojrzała wymownie na zegarek i wstała.

— Już późno. Zabrałam ci zbyt wiele czasu.

— Nie mam już żadnych pilnych zajęć — oznajmił, odprowadzając ją do drzwi.

— Musisz opiekować się całą trzódką parafian. Poza tym jest Wigilia.

— Zauważyłaś pewnie, że ja też nie mam dziś dokąd pójść.

Przystanęła i odwróciła się do niego. Stali sami w kościele, wdychając wonie świec i kadzidła, znajome zapachy, które przywodziły wspomnienia z dzieciństwa, z dawnych świąt,

dawnych pasterek. Z dni, kiedy wizyta w kościele nie wzbudzała w niej takiej burzy uczuć jak teraz.

— Dobranoc, Danielu — powiedziała, odwracając się do drzwi.

— Czy znów nie zobaczę cię przez cztery miesiące? — zawołał za nią.

— Nie wiem.

— Brakowało mi naszych rozmów, Mauro.

Znów się zawahała, dotykając już ręką drzwi.

— Mnie też ich brakowało. Może właśnie dlatego powinniśmy z nimi skończyć.

— Nie zrobiliśmy nic, czego należałoby się wstydić.

— Na razie — odparła cicho, nie patrząc na niego, lecz na ciężkie rzeźbione drzwi, które zagradzały jej drogę ucieczki.

— Mauro, nie zostawiamy tego tak. Nie ma powodu, żebyśmy nie mogli utrzymywać... — Zamilkł.

Dzwonił telefon Maury.

Wydobyła go z torebki. O tej porze sygnał komórki nie mógł oznaczać nic dobrego. Gdy odbierała, czuła na sobie wzrok Daniela, który wprawiał ją w drżenie.

— Doktor Isles — odezwała się nienaturalnie chłodnym tonem.

— Wesółych świąt! — powiedziała detektyw Jane Rizoli. — Jestem trochę zaskoczona, że nie zastałam cię o tej porze w domu. Dzwoniłam najpierw tam.

— Byłam na pastercie.

— Chryste, jest już pierwsza w nocy. Jeszcze się nie skończyła?

— Owszem, Jane. Skończyła się i właśnie wychodzę — odparła Maura tonem, który ucinął dalsze pytania. — Co dla mnie masz? — spytała. Wiedziała już, że Jane nie dzwoni z pozdrowieniami, tylko z wezwaniem.

— Wschodni Boston, Prescott Street, numer dwieście dziesięć. Prywatny dom. Frost i ja dotarliśmy tu pół godziny temu.

— Szczegóły?

— Jedna ofiara, młoda kobieta.

— Zabójstwo?

— O tak!

— Wydajesz się tego bardzo pewna.

— Sama zobaczysz, jak przyjedziesz.

Wyłączyła telefon i zobaczyła, że Daniel wciąż na nią patrzy. Ale czas na ryzykowne decyzje, na wypowiedanie słów, których oboje mogliby żałować, już minął. Stała między nimi śmierć.

— Musisz jechać do pracy?

— Pełnię dziś dyżur. — Wsunęła telefon do torebki. — Ponieważ nie mam w tym mieście rodziny, zgłosiłam się na ochotnika.

— Akurat tej nocy?

— Prawdę mówiąc, Boże Narodzenie nie ma dla mnie większego znaczenia.

Zapięła kołnierz płaszcza i wyszła z kościoła w ciemną noc. Podążył za nią i gdy brnęła w świeżym śniegu do samochodu, przyglądał się jej ze schodów, a jego białe szaty powiewały na wietrze. Obejrzawszy się, zobaczyła, jak unosi rękę w pożegnalnym geście.

Wciąż do niej machał, gdy odjeżdżała.

Rozdział trzeci

Niebieskie światła trzech radiowozów pulsowały wśród opadających płatków śniegu, obwieszczając każdemu, kto się zbliżał: tutaj stało się coś strasznego. Maura poczuła, jak ociera przednim zderzakiem o lód, gdy parkowała swojego lexusa tuż przy śnieżnej zaspie, aby mogły ją mijać inne pojazdy. O tej porze w wigilijną noc mogły się pojawić na tej wąskiej uliczce zapewne tylko samochody członków orszaku śmierci, takich jak ona. Zbierała przez chwilę siły, aby stawić czoło wyczerpującym godzinom ciężkiej pracy. Jej zmęczone oczy zachodziły mgłą od błyskających świateł. Czuła odrętwienie kończyn. To przez nie najlepsze krążenie.

Ocknij się, pomyślała. Czas do pracy.

Wysiadła z samochodu i nagły powiew zimnego powietrza pozbawił ją natychmiast senności. Przeszła po świeżej warstwie śnieżnego puchu, który szeleścił jej delikatnie pod butami. Choć było wpół do drugiej w nocy, w kilku stojących wzdłuż ulicy skromnych domkach paliły się światła, a w oknie ozdobionym świątecznymi motywami latających reniferów i laseczek z cukru zobaczyła sylwetkę ciekawskiego sąsiada, wyglądającego z ciepłego domu w noc, która nie była już cicha ani święta.

— Hej, doktor Isles? — zawołał starszy policjant, którego znała z widzenia. Najwyraźniej wiedział dobrze, kim jest. Oni wszyscy ją znali. — Jakim cudem miała pani szczęście tu dzisiaj trafić, hm?

— Mogłabym pana spytać o to samo.

— Pewnie oboje wyciągnęliśmy krótkie zapalki. — Zaśmiał się. — Wesołych świąt, psiakrew.

— Czy detektyw Rizzoli jest w środku?

— Tak, razem z Frostem nagrywali wszystko na wideo. — Wskazał niewielki prostokątny budynek, w którym paliły się wszędzie światła, wciśnięty w rząd starszych, podniszczonych domków. — Teraz są już chyba gotowi do rozmowy z panią.

Odgłos gwałtownych torsji sprawił, że Maura spojrzała w kierunku ulicy, gdzie stała przy zaspie zgięta wpół blondynka, przytrzymując ręką długi płaszcz, aby nie ubrudzić go wymiocinami.

Policjant prychnął pogardliwie i mruknął do Maury:

— Ta się świetnie nadaje do wydziału zabójstw. Wpadła tu jak bohaterka *Cagney i Lacey*. Rozkazywała wszystkim naokoło. Prawdziwa twardzielka! A potem weszła do tego domu, rzuciła tylko okiem i teraz rzyga w śnieg. — Zaśmiał się ironicznie.

— Nie widziałam jej wcześniej. Jest z wydziału zabójstw?

— Podobno przenieśli ją właśnie z wydziału narkotyków. Błyskotliwy pomysł komisarza, żeby zatrudniać u nas więcej kobiet. — Pokręcił głową. — Moim zdaniem długo tu nie wytrzyma.

Dziewczyna otarła ręką usta, przeszła niepewnie w kierunku ganku i przysiadła na schodach.

— Hej, pani detektyw! — zawołał policjant. — Może odejdzie pani z miejsca przestępstwa? Jeśli chce pani jeszcze wymiotować, proszę przynajmniej robić to tam, gdzie nie zbierają dowodów.

Stojący w pobliżu młody policjant zaśmiał się drwiąco.

Blondynka zerwała się na nogi i w blasku migających świateł radiowozów widać było zażenowanie na jej twarzy.

— Chyba pójde posiedzieć przez chwilę w samochodzie — mruknęła.

— Właśnie. Niech pani tak zrobi.

Maura przyglądała się, jak dziewczyna znajduje schronienie w swoim wozie. Jakie koszmary czekały wewnątrz tego domu?

— Pani doktor! — zawołał detektyw Barry Frost. Wyłonił się właśnie z budynku i stał na ganku, opatulony wiatrówką. Jego jasne włosy sterczały kępkami, jakby dopiero wygramolili się z łóżka. Choć miał zawsze ziemistą cerę, w żółtawej poświacie lampy na ganku był jeszcze bledszy niż zwykle.

— Zdaje się, że źle to wygląda — powiedziała Maura.

— Mało świąteczny widok. Pomyślałem, że wyjdę na chwilę i zaczerpnę powietrza.

Przystanęła u podnóża schodów, zauważając na zaśnieżonym ganku mnóstwo śladów.

— Można tędy wejść?

— Tak. To odciski butów policjantów.

— A ślady sprawcy?

— Niewiele znaleźliśmy.

— Czyżby wleciał przez okno?

— Wygląda na to, że po sobie posprzątał. Ganek był pozamiatany.

Maura zmarszczyła brwi.

— Dba o szczegóły.

— Zobacz pani, co jest wewnątrz.

Weszła po schodach i nałożyła osłony na buty i rękawiczki. Z bliska Frost wyglądał jeszcze gorzej. Twarz miał wychudzoną i bladą. Zaczerpnął jednak tchu i zaproponował dzielnie:

— Wprowadzę panią do środka.

— Nie, proszę tu zostać. Rizzoli wszystko mi pokaże.

Skinął głową, ale nie patrzył na nią. Wpatrywał się w ulicę, koncentrując całą uwagę na tym, by zatrzymać w żołądku obiad. Zostawiła go, by kontynuował walkę, i chwyciła za gałkę w drzwiach. Była już przygotowana na najgorsze. Zaledwie przed kilkoma minutami przyjechała wyczerpana, nie mogąc się dobudzić. Teraz ogarnęło ją elektryzujące napięcie.

Weszła do domu. Przystanąła na chwilę, czując przyspieszone bicie serca, i nie zobaczyła niczego, co budziłoby grozę. W holu była porysowana dębowa podłoga. Przez drzwi widziała salon z tanimi meblami: zapadniętym tapczanem, miękkim krzesłem i zbitym z desek regałem. Nic na razie nie obwieszczało, że to miejsce zbrodni. Koszmar miał się dopiero pojawić. Wiedziała, że czeka na nią w tym domu. Widziała jego odbicie w oczach Barry'ego Frosta i szarej jak popiół twarzy wymiotującej dziewczyny.

Przeszła przez salon do jadalni, gdzie zobaczyła ustawione wokół sosnowego stołu cztery krzesła. Ale nie umeblowanie zwróciło jej uwagę, lecz zastawa na stole, przygotowana jakby do rodzinnego obiadu. Obiadu dla czterech osób.

Na jednym z talerzy leżała zwinięta lniana serwetka, załamiona krwią.

Sięgnęła po nią ostrożnie i podniósłszy ją za róg zajrzała, co jest pod spodem, na talerzu. Natychmiast upuściła serwetkę i cofnęła się, chwytając powietrze.

— Widzę, że znalazłaś lewą dłoń — usłyszała za sobą.

Maura odwróciła się raptownie.

— Ależ mnie przestraszyła!

— Chcesz zobaczyć coś naprawdę przerażającego? — spytała detektyw Jane Rizzoli. — To chodź za mną.

Odwróciła się i poprowadziła Maurę korytarzem. Podobnie jak Frost Jane wyglądała tak, jakby dopiero wygramoliła się z łóżka. Miała wygniecione spodnie i zmierzwione włosy. W przeciwieństwie jednak do Frosta poruszała się energicznie, szeleszcząc po podłodze papierowymi osłonami na butach. Spośród wszystkich detektywów, którzy pojawiali się regularnie w prosektorium, Jane najczęściej podchodziła blisko do stołu, pochylała się nad zwłokami, aby z bliska się im przyjrzeć, i teraz także szła bez wahania przez korytarz. To Maura wlokła się z tyłu, wpatrując się w ślady krwi na podłodze.

— Trzymaj się tej strony — ostrzegła Jane. — Tutaj mamy jakieś niewyraźne ślady sportowych butów, prowadzące w obu kierunkach. Są już suche, ale nie chcę ich zatrzeć.

— Kto wezwał policję?

— Był telefon pod dziewięćset jedenaście. Tuż po północy.

— Skąd?

— Z tego domu.

Maura zmarszczyła brwi.

— Ofiara? Próbowала wezwać pomoc?

— Nikt się nie odezwał. Ktoś wykręcił tylko numer alarmowy i odłożył na bok słuchawkę. Pierwszy radiowóz dotarł tutaj w ciągu dziesięciu minut. Policjant zastał otwarte drzwi, wszedł do sypialni i doznał szoku. — Jane przystanęła na progu i popatrzyła przez ramię na Maurę, posyłając jej ostrzegawcze spojrzenie. — Tutaj zaczyna się koszmar.

Ta odcięta dłoń już mi wystarczyła.

Jane odsunęła się na bok, by Maura mogła zajrzeć do sypialni. Nie zobaczyła ofiary, tylko krew. Ludzkie ciało zawiera przeciętnie około pięciu litrów krwi. Taka ilość czerwonej farby pokryłaby całą powierzchnię niewielkiego pokoju. Zagląając przez drzwi Maura ujrzała ze zdumieniem jaskrawe, ekstrawa-

ganckie plamy, rozprysnięte fantazyjnie na białych ścianach, meblach i pościeli.

— Krew tętnicza — powiedziała Rizzoli.

Maura zdołała tylko skinąć głową w milczeniu, wpatrując się w rozpylone łukiem kropelki i odczytując straszliwą historię, zapisaną czerwienią na tych ścianach. Gdy jako studentka czwartego roku medycyny odbywała praktykę na pogotowiu, widziała kiedyś, jak postrzelony mężczyzna wykrwawiał się na stole operacyjnym. Ponieważ spadało mu ciśnienie, chirurg próbował rozpaczliwie wykonać laparotomię, aby powstrzymać krwotok wewnętrzny. Kiedy rozkroił mu brzuch, krew tętnicza z rozerwanej aorty trysnęła lekarzom na fartuchy i twarze. W ciągu ostatnich dramatycznych sekund, gdy odsysali krew i przykładali sterylne ręczniki, uwagę Maury przyciągała tylko ta krew. Jej łśnienie i zapach. Gdy sięgnęła do otwartego brzucha po retraktor, ciepło, które poczuła przez rękawy fartucha, było kojące jak gorąca kąpiel. Tego dnia w sali operacyjnej Maura przekonała się, jak krew może tryskać z tętnicy nawet przy niskim ciśnieniu.

Teraz, gdy przyglądała się ścianom sypialni, znów skupiała jej uwagę krew, która opowiadała historię ostatnich chwil życia ofiary. *Gdy sprawca dokonał pierwszego cięcia, serce ofiary jeszcze biło, krew krążyła pod ciśnieniem.* Tam, nad łóżkiem, wysoko na ścianie, było miejsce, gdzie trysnął jej pierwszy strumień, jak seria z karabinu maszynowego. Potem pulsowanie krwi słabło, więc kolejne ślady są coraz niżej. Organizm próbował wyrównać słabnące ciśnienie, tętnice się zaciskały, puls był coraz szybszy. Ale z każdym uderzeniem serca zbliżał się nieuchronny koniec. Gdy w końcu ciśnienie spadło i serce przestało bić, krew już nie tryskała, tylko sączyła się wąską strużką. Maura widziała zapis tej śmierci na ścianach i łóżku.

Nagle dostrzegła coś, czego omal nie przeoczyła wśród krwawych plam. Poczula mrowienie na karku. Na jednej ze ścian wymalowane były krwią trzy odwrócone krzyże. A pod nimi seria zagadkowych symboli.



— Co to oznacza? — spytała cicho Maura.

— Nie mamy pojęcia. Próbujemy to rozszyfrować.

Maura nie mogła oderwać wzroku od napisu. Przełknęła głośno ślinę.

— Co tu się, do cholery, dzieje?

— Zaczekaj, aż zobaczysz wszystko. — Jane obeszła łóżko i wskazała na podłogę. — Ofiara jest tutaj. W każdym razie większość tego, co z niej zostało.

Dopiero gdy Maura przeszła na drugą stronę łóżka, zobaczyła ciało kobiety. Leżała naga, plecami do podłogi. Z powodu upływu krwi jej skóra miała barwę alabastru i Maura przypomniała sobie nagle wizytę w jednej z sal Muzeum Brytyjskiego, gdzie eksponowano dziesiątki fragmentów rzymskich posągów. Marmur kruszał z upływem stuleci, kamiennym postaciom odpadały głowy i ręce, a pozostawały tylko anonimowe tułowia. Podobny widok miała teraz przed oczami. *Okaleczona Wenus. Pozbawiona głowy.*

— Zdaje się, że zabił ją tam, na łóżku — rzekła Jane. — To by wyjaśniało plamy krwi na tej właśnie ścianie i na materacu. Potem ściągnął ją na podłogę, może dlatego, że na twardym podłożu lepiej się tnie.